

Byłem w Polsce – 14

22 lipca 2018

Każde miejsce w tych okolicach przywoływało jakieś wspomnienia i prawdę mówiąc, czułem się nimi przytłoczony, bo jakże w ciągu paru chwil wszystko ogarnąć, opanować falę odczuć i wzruszeń?

Tu było to, a tu tamto, a jeszcze dalej paliłem ognisko, piekłem ziemniaki itd., itd. Chciałem też spotkać dawnych kolegów, zobaczyć, jak wyglądają, ale zaraz potem przyszła do mnie myśl, że może nie żyją, może wyjechali tak jak ja i w szerokim świecie ślad po nich zaginął.

Trochę na chybił trafił zapytałem o jednego z nich. To było, jeszcze zanim dojechaliśmy do miasteczka. Niedaleko stąd mieszkał Stasio, z którym znałem się od najwcześniejszych lat. Nazywałem go wtedy Stasio Przyjemniasio. W gruncie rzeczy to były tylko takie wczesnodziecięce zabawy – coś jak znajomość z piaskownicy, tyle tylko, że w naszym przypadku piaskownicy nie było. On tego „Przyjemniasia” nie lubił i rzucał się do bitki, a ja, prawdę mówiąc, ani wtedy, ani potem nie wiedziałem, skąd się to przyzwisko wzięło.

Zobaczyłem chłopca, który naprawiał motor na skraju drogi. Koło siebie miał rozrzucone narzędzia. Zatrzymałem się i spytałem, gdzie mieszka Stasio.

– To pan pyta o Stanisława S.?

– No tak, oczywiście – poprawiłem się – bo bezwiednie zapytałem o Stasia, a przecież dla tego młodego chłopca to nie był żaden Stasio, tylko Stanisław!

– A to tam – ten biały dom pod górą – pokazał ręką.

Dom stał u stóp zbocza zwieńczonego linią lasu. Przed domem siedziała starsza kobieta i obierała jabłka na kompot. Kury

dziobały rzucane im od czasu do czasu skórki. Na ścianach domu zwieszało się kapryfolium, a trochę dalej rosły rzędy winorośli z pięknymi gronami białych winogron.

Dom wyglądał na zasobny. Wszędzie widać było gospodarską rękę, ład i porządek. Po drugiej stronie obszernego podwórza zobaczyłem dwie wielkie stodoły, a w ich otwartych wierzejach... sylwetkę jakiegoś trucka!

– Dzień dobry – przywitałem starszą kobietę – nazywam się Marcin Baraniecki i chciałem się zobaczyć...

– Panno Przenajświętsza! Czy to możliwe? Pan Marcin?

– Jaki tam pan – proszę do mnie mówić tak jak kiedyś...

– A co też mówi?! Co mówi? Ale pewnie do Stasia, co?

– No tak, jeśli jest w domu...

– W domu to nie... ale niech popatrzy – on tam na polu robi – o tam, tam...

Na rozległym stoku widać było postać, która z odległości domu wyglądała jak mały, czarny żuk. Wielkie pole i mały Staś!

– On zara zejdzie na obiad... Niech poczeka, usiądzie, może co podać? Kompotu słodkiego?

Było w tych pytaniach tyle ciepła i serdeczności, że poczułem ścisnięcie gardła.

Koło południa, gdy z odległego kościoła rozległ się głos dzwonu na Anioł Pański, Staś zszedł z pola. Niski był i zgarbiony i prawie nie do poznania, tylko oczy miał te same, takie jakieś „milusie”. Pewnie stąd się wziął ten „Przyjemniasio”. Ale nawet nie pomyślałem, żeby tak się do niego odezwać.

Gadaliśmy i gadali, bo przecież sześćdziesiąt lat było do przegadania, powspominania i roztrząsania. Jedno tylko mnie

zdenerwowało, ale akurat na to nie było rady. Otóż zwracał się do mnie tak jak jego mama w trzeciej osobie i chociaż parę razy go napominałem, żeby się nie wygłupiał i mówił do mnie po imieniu, to on śmiał się tylko „przymilnie” i mówił:

– A Marcin to zawsze taki jak wprzód! Każdą razą cosik do śmichu powi!

I co było gadać?

A tymczasem mama postawiła na stole obiad.

Staś przeżegnał się szeroko, ja naturalnie za jego przykładem także i zaczęliśmy jeść spokojnie, nieśpiesznie i w ciszy, bo w tych stronach posiłek to prawie tak jak modlitwa.

Mama – jak to z kobietami u nas zawsze bywało – krzątała się koło kuchni. A to barszcz przesunęła dalej od ognia, a to kapustę pomieszała, a to pierogi czymś polała, ale usiąść, nie siadała... Uśmiechała się tylko i cały czas tłumaczyła, że gdyby wiedziała, że taki gość, toby jaką kaczkę zabiła i rosołu nagotowała i ciastek napiekła, a tak to co – ino taki bidny obiad z pierogami, dobry dla Stasia przy robocie, ale dla gościa to zdałoby się cosik lepszego, jakieś mięso i tak dalej, i tak dalej!

Staś mieszkał z mamą. Wspomniał, że jest żonaty, ale niedużo o tym mówił, a ja nie chciałem pytać, bo przecież wiadomo, że każdy ma jakieś miejsce, które boli i tykać go nie lubi. Gospodarka była wzorowa, bo oprócz pola i wielkiego kawału lasu był i staw z rybkami, para koni plus ładny wałach pod wierzch, krów chyba z osiem, świnek, kur, kaczek i różnego drobiazgu pełno. Po podwórku przechadzał się bocian, który utykał, więc nie odleciał z innymi i został u Stasia na łaskawym chlebie.

Co dla mnie było najważniejsze, to ten stojący w stodole truck.

– Stasiu, a co to za ciężarówka stoi w stodole? Może byś ją pokazał, co? Wiesz – przez tyle lat kierowcą byłem, to zawsze mnie ciągnie.

– A pójdźmy.

Nie mogłem oderwać oczu. Star 244 z dwoma napędami. Przeszło dwudziestoletni, ale zdrowy jeszcze jak rydz i jak Staś mówił, nieoceniony w gospodarce i w ogóle na wsi.

– Ile ja materiałów ludziom na budowy nawiózł! Ile pustaków, cementu, cegły, papy... A drzewo z lasu, a żwir z Sanu, a deski, a tregry stalowe... Star wszystko przetrzyma!

Widać było, że kocha swój wóz.

– No to po co konie? – pytałem.

– Ta co takiego? A czy to starem zaorze, albo zabronuje?

Wyjechaliśmy obładowani winogronami.

Jak się okazało, parę lat wcześniej Staś był na robocie w Niemczech, potem pojechał jeszcze do Holandii, wrócił, był na pielgrzymce w Rzymie, a nawet z modlitewną grupą w Fatimie. Jednym słowem, przetarł się trochę po świecie. Mówił, że prawie z każdego domu w okolicy ktoś gdzieś jechał, pracował na budowie czy na holenderskim albo francuskim polu, uciułał trochę pieniędzy, a potem wracał do siebie i stawiał dom.

To już nie były czasy starego stolarza Jakuba, który w ciągu całego życia raz tylko jeden, jedyny wyjechał w daleką podróż do Przeworska!

To była cały czas ta sama wieś, ale jakżeż inna, otwarta na świat, prężna, młoda, a przede wszystkim zamożna.

A przecież to były jedne z najbiedniejszych regionów Kraju. To była Polska B! A jednak! Zaraz też przyszła mi do głowy myśl, że skoro tu jest tak zasobnie, to jak musi być, powiedzmy, w

Poznańskiem, gdzie zawsze było bogaciej, tłuszciej i syciej!

Byłem zachwycony.

I z tym zachwytem w głowie i słodkimi winogronami w brzuchu dojechaliśmy do mojego domu, który nie był już moim domem, a obejście moim obejściem, a gazon moim gazonem.

Tylko stary, odwieczny dąb szumiał tak samo jak za moich dziecinnych lat. Świadek tylu pokoleń, wydarzeń, zmian, wojen, buntów i dziejowych zawieruch. Pod tym dębem bawiłem się jako dziecko, potem witałem go, ile razy przyjeżdżałem na wakacje, a jeszcze później chodziłem z moim najstarszym synem, gdy pod koniec lat siedemdziesiątych przyjechaliśmy z krótką wizytą.

Sam dom przeznaczony był teraz na dom opieki dla dzieci pochodzących z rodzin pozbawionych władzy rodzicielskiej. Odnowiony i wzorowo prowadzony, pełnił teraz funkcje opiekuńcze.

Autorstwo: Marcin Braniecki

Źródło: Goniec.net